

Michał Centkowski

Reanimacja Lorda Jima

To nie przypadek, że wałbrzyski "Lord Jim" zaczyna się monologiem egzystującego gdzieś na obrzeżach powieści Conrada pospolitego Kundla (świątyni Maciej Litkowski), który pałęta się po budynku sądu, gdzie rozpatrywana jest sprawa tytułowego bohatera. Ta pozorna inscenizacyjna dezynwoltura to element przemyślanej strategii twórców, polegającej na wydobywaniu z dzieła Conrada tego, co nieoczywiste, dziwne i potencjalnie współczesne.

Bo spektakl Macieja Podstawnego i Sebastiana Majewskiego to właściwie nie adaptacja, ale błyskotliwa, przewrotna wariacja na temat słynnej powieści. Ostatecznie Rok Conradowski to dobra okazja, żeby twórczość najbardziej światowego z polskich pisarzy poddać krytycznej lekturze. Scenografia Mirka Kaczmarka przypomina izbę pamięci poświęconą bohaterowi. Wysokie ściany aż po sufit wypełniają kolorowe mapy, entomologiczne pamiątki z egzotycznych wypraw, szable i muszkiety. Pośrodku, na postumencie, stoi sporych rozmiarów model okrętu. Podłogę szczelnie pokrywa gruba warstwa ścinków papieru - to powieść Korzeniowskiego przepuszczona przez niszcarkę. A może to muzeum naszych niespełnionych kolonialnych ambicji, pełne rupieci kojarzących się z egzotyką, albo gabinet jakiegoś tropikalnego dyktatora? W jednym kącie leży wysepka ze sztucznej trawy z wielką palmą, zaś w drugim na stole operacyjnym trwa rozpaczliwa próba reanimacji Jima.

W pierwszej części spektaklu uczestniczymy w procesie nie tylko nad bohaterem powieści, ale i nad jej autorem. Twórcy szukają dla tej historii współczesnych kontekstów, romantycznym dylematom przydając realnych, bardziej aktualnych kształtów. Stąd statek Patna wiozący pielgrzymów u Conrada, z którego dezertuje Jim zmienia się w Costa Concordię, którą haniebnie porzucił kapitan. Bo ten spektakl jest w gruncie rzeczy pytaniem o aktualność rozterek i diagnoz zaczerpniętych z porządku epoki, z której wyrastał Conrad i z której wyrósł jego najsłynniejszy bohater. Ekscentrycznej teatralnej rozprawie nad mniej lub bardziej wyobrażoną winą przewodniczy kobieta Sędzia (znakomita Barbara Lewandowska), której bełkotliwym w gruncie rzeczy wyrokom majestatu przydaje przypudrowana peruka i Bach jako podkład muzyczny. I tak we wzniosie moralne rozważania pechowego oficera marynarki handlowej bezlitośnie wkrada się prozaiczna rzeczywistość. Wałbrzyski Lord Jim, w znakomitej interpretacji Piotra Tokarza, nie jest już charyzmatycznym żeglarzem przeżywającym wielkie przygody to raczej zmęczony i nieco gburowaty gość utkany z poczucia winy i frustrującego poczucia obowiązku jak większość

bohaterów naszej zbiorowej wyobraźni. Hojnie rozdziela romantyczne gesty, zawsze przegrywając ze światem pragmatycznych interesów i racjonalnych argumentów.

W drugiej części, wraz z osądzonym już Jimem, trafiamy na egzotyczną wyspę, leżącą gdzieś między Costa Rica a Costa Coffee. Prości tubylcy w obliczu nadciągającej wojny ogłaszają smutnego, ale szlachetnego bohatera swym królem. A on w obliczu nadciągającej nieuchronnie klęski funduje im szaloną przygodę w duchu polskiego męczeństwa.

Na szczęście wisielczy humor nie opuszcza twórców do końca. W najlepszej scenie spektaklu Jim spotyka na tropikalnej wyspie, w swym odwróconym, sielskim jądrze ciemności, Raskolnikowa (ponownie Maciej Litkowski). Michał Kosela z mopem na głowie śpiewa gdzieś w tle "The End" Doorsów, a bohaterowie dwóch wielkich powieści niczym w gombrowiczowskim pojedynku na miny licytują się na ciężar swoich grzechów.